Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.

„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 15. **Bochum, dnia 14 kwietnia 1898.** **Rok 7.**

Na niedzielę Przewodnią
czyli pierwszą po Wielkiejnocy.

Lekcya. 1 Jan V. 4—10.

Najmilsi! Wszystko co się narodziło z Boga, zwycięża świat; a to jest zwycięztwo, które zwycięża świat, wiara nasza. Któż jest, co zwycięża świat, jedno który wierzy, iż Jezus jest Synem Bożym? Ten jest, który przyszedł przez wodę i krew, Jezus Chrystus: nie w wodzie tylko, ale w wodzie i krwi. A duch jest, który świadczy, iż Chrystus jest prawda. Albowiem trzej są, którzy świadectwo dają na niebie: Ojciec, Słowo i Duch święty: a ci trzej jedno są. A trzej są, którzy świadectwo dają na ziemi: Duch, i woda, i krew, a ci trzej jedno są. Jeśli świadectwo ludzkie przyjmujemy, świadectwo Boże większe jest; albowiem to jest świadectwo Boże, które większe jest, iż świadczył o synie swoim. Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadectwo Boże w sobie.

Ewangielia. Jan XX. 19—31.

Onego czasu: Gdy był wieczór dnia onego pierwszego Szabbatów, a drzwi były zamknione, kędy uczniowie byli zgromadzeni dla bojaźni Żydów: przyszedł Jezus, i stanął w pośrodku i rzekł im: Pokój wam! A to rzekłszy, ukazał im ręce i bok. Uradowali się tedy uczniowie ujrzawszy Pana. Rzekł im tedy zasię: Pokój wam! Jako mię posłał Ojciec, i ja was posyłam. To powiedziawszy, tchnął na nie, i rzekł im: Weźmijcie Ducha św.: których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane. A Tomasz, jeden ze dwunastu, którego zowią Didymus, nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę w ręku jego przebicia gwoździ, a nie włożę palca mego na miejsce gwoździ, i nie włożęli ręki mojej w bok jego, nie uwierzę. A po ośmiu dniach byli zasię uczniowie jego w domu, i Tomasz z nimi. Przyszedł Jezus drzwiami zamknionemi i stanął w pośrodku, i rzekł: Pokój wam! Potem rzekł Tomaszowi: Włóż sam palec twój, a oglądaj ręce moje, i ściągnij rękę twoję, a włóż w bok mój, a nie bądź niewiernym, ale wiernym. Odpowiedział Tomasz i rzekł mu: Pan mój, i Bóg mój. Powiedział mu Jezus: Iżeś mię ujrzał Tomaszu, uwierzyłeś. Błogosławieni którzy nie widzieli a uwierzyli. — Wieleć i innych znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniow swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus Chrystus, Syn Boży; a iżbyście wierząc, żywot mieli w imię jego.

Kazanie
o miłosierdzia zasłudze i konieczności.

„Błogosławieni miłosierni, albowiem dostąpią miłosierdzia“.

Dostąpić czego, to znaczy otrzymać rzecz wielką. Mówimy: ten a ten dostąpił tak wielkiej godności, dostąpił tego, czego się nawet nie spodziewał, co przechodziło jego nadzieje, jego marzenia i oczekiwania. Dla tego Pismo św. nie mówi: „błogosławieni miłosierni, albowiem miłosierdzie otrzymają“, ale wyraźnie stoi: „błogosławieni miłosierni, albowiem miłosierdzia dostąpią“ tj. pójdą w ślad za miłosierdziem, będą gonić, ścigać miłosierdzie, będą się o miłosierdzie dobijać.

Miłosierdzie więc, jak widać ze słów tekstu, wielką jest rzeczą i bardzo trudną, potrzeba je zdobywać, potrzeba się o nie z usilnością starać. Zkąd taka trudność? Ażali ze strony Boga? Ale miłosierdzie przyrodzone jest Bogu, który będąc samą i najwyższą miłością, nie chce śmierci grzesznika, ale iżby się nawrócił i żył. Może ze strony człowieka?

I żebyśmy na to pytanie mogli odpowiedzieć, zastanówmy się, co to jest miłosierdzie.

Miłosierdzie, powiada św. Tomasz, idąc za określeniem św. Augustyna, jest to współczucie, litość serca naszego nad drugiego niedolą i nędzą. A kogoż bardziej do miłosierdzia nędza i niedola drugiego poruszać powinna jak tego, co sam nieszczęśliwy i nędz rozmaitych pełen? Człowiek najlepiej zna nędzę, bo sam jest nędzą i dla tego znając to siebie, że jest nędzą samą, ogromnem zbiorowiskiem niedostatków i ułomności a więc nędz rozmaitych, wiedząc, czem jest, powinien wszelkiemi możliwemi środkami przychodzić w pomoc bliźniego nędzom. Określenie więc miłosierdzia, jakie nam dają ci wielcy doktorowie Kościoła, wcale nie mówi, iżby miłosierdzie ze strony człowieka trudnem było. I potrzeba nam dobrze pamiętać, iż, kiedy o miłosierdziu jest mowa, to potrójnie miłosierdzie uważać możemy: albo jako samą cnotę, albo jako samo uczucie, albo też razem i jako cnotę i jako uczucie. Miłosierdzie, jako sama doskonałość, właściwe jest tylko Bogu i Swiętym w niebie; bo ani Bóg, ani Swięci nie czują nędzy ani cierpienia żadnego, czuć nawet nie mogą, wszelkie cierpienia i wszelki brak jest dla nich zupełnie obcym, i dla tego, nie przez współczucie dla nędzy i cierpienia miłosiernymi są, ale Bóg miłosiernym jest ze swej natury a Swięci przez uczestnictwo w doskonałościach Boskich. Miłosierdzie, jako uczucie, jako popęd serca, które samo czując, co mu dolega i co potrzebuje, idzie w pomoc drugim, powinno być we wszystkich sercach ludzkich, według tych słów Joba: „Od dzieciństwa mojego rosła ze mną litość i razem ze mną wyszła z żywota matki mojej tj. iż litość przyrodzoną jest każdemu człowiekowi, każdy z nią się rodzi, z nią rośnie i w miarę jak serce i umysł dojrzewa, w miarę jak jego dusza kształci się, rośnie i w sercu jego dojrzewa litość. Tak być powinno. Lecz tak na nieszczęście nie jest. Wiemy z tysiącznych przykładów, iż są ludzie, co wstyd powiedzieć, gorsi są od zwierząt, okrutniejsi dla swych bliźnich aniżeli zwierzęta dla drugich podobnych sobie zwierząt w rodzaju swoim, ludzie, co, jak powiada prorok o bogaczach i rozkosznikach tego świata, sami piją czaszami wino i namazują się przedniejszemi olejkami, ale na ubogiego, nieszczęśliwego, cierpiącego, ani wspomną.

Dla tego, ażeby być prawdziwie miłosiernym, przez miłosierdzie błogosławionym, a w nagrodę miłosierdzia otrzymać Królestwo Niebieskie, samo uczucie, sam ten przyrodzony popęd do czynienia dobrze, z jakim człowiek przychodzi na świat i rośnie, nie wystarcza; bo ludzie źli, bezbożni, grzechami swemi nie tylko tracą łaskę Boską, ale i same nawet przyrodzone dary, samą nawet litość i współczucie dla nędzy drugiego. Czegóż więc potrzeba? Potrzeba, ażeby przyrodzoną serca ludzkiego litość wsparła i podniosła i silną a trwałą uczy-

niła łaska Boska; potrzeba, iżby w sercu człowieka uczucie sprzymierzyło się z cnotą; potrzeba, iżby to, z czem człowiek przyszedł na świat, z czem rósł i co mu dane było bez jego wiedzy, woli i pracy, sam dobrowolnie sobie wybrał, sobie przyswoił i z daru przyrodzznego zrobił zasługę na żywot wieczny. Słowem, ażeby przyrodzonego uczucia, przyrodzonej litości nie stracić, potrzeba nadprzyrodzonej sprawiedliwości, potrzeba łaski. Sprawiedliwy, powiada mędrzec pański, wie o potrzebach nie tylko ludzi i bydła swojego; miłosierniejszym, litościwszym jest nad zwierzętami, aniżeli bezbożny nad ludźmi, bo wnętrzności bezbożnych okrutne.

I na dowód, iż miłosierdzie jako uczucie, jako sama przyrodzona serca ludzkiego litość, do zbawienia człowieka nie wystarcza, mamy słowa Jezusa Chrystusa. Powiada Zbawiciel: „bądźcie miłosiernymi, jako Ojciec wasz niebieski miłosiernym jest“. Bóg, jakeśmy to już powiedzieli, przez współczucie nędzy i cierpienia miłosiernym nie jest, miłosiernym jest z doskonałości swej natury. Kiedy więc Pan Jezus każe nam być miłosiernymi jako sam Bóg jest miłosiernym, to niczego innego nie chce, jedno ażebyśmy przez łaskę, która nas robi uczestnikami natury Boskiej, która nas z Bogiem łączy i udziela nam coś boskiego, miłosiernymi byli. Chce, abyśmy Boga w miłosierdziu naśladowali, Boga, który słońcu swemu każe wschodzić zarówno nad dobrymi i nad złymi. Chce, abyśmy miłosierdzie bliźnim naszym czynili nie z pobudek krwi i ciała, nie z pobudek przyrodzonych, nie z jakiegoś tylko naturalnego uczucia, ale iżbyśmy w człowieku widzieli obraz Boski i dla tego byli dla niego miłosiernymi. Chce, iżbyśmy w czynieniu miłosierdzia bliźnim naszym nie szukali doczesnego zysku, doczesnej chwały, wdzięczności i zapłaty od tych, którzy miłosierdzia naszego dostępują, ale iżbyśmy dla wszystkich miłosiernymi i dobroczynnymi byli, jako sam Bóg, bez oglądania się na osoby. Chce, iżbyśmy miłosiernymi byli w prostocie serca, jako sam w przypowieści powiedział: „gdy sprawujesz obiad albo wieczerzę, nie wzywajże przyjaciół twoich, ani braci, ani krewnych twoich, ani sąsiadów bogatych, żeby cię też oni nie wezwali i nie stała ci się nagroda. Ale gdy sprawujesz ucztę, wezwij ubogich, ułomnych, chorych i ślepych, a będziesz błogosławionym, że ci nie mają czem oddać; albowiem będzie ci oddano czasu zmartwychwstania sprawiedliwych“. Chce nakoniec, iżby serca nasze dla nędzy i cierpienia bliźnich otwierały te słowa Jezusa Chrystusa, które przed miłosiernymi otworzą kiedyś bramy Królestwa Niebieskiego: „Zaprawdę, powiadam wam, coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, toście mnie uczynili“. (Dokończenie nastąpi).

Śmierć Świętych.

Wiadomo nam z żywotów Świętych, iż wielu z nich obok niejakiej obawy przed surową sprawiedliwością Najwyższego Sędziego, lecz ufając w nieskończone miłosierdzie Boże, czekali na śmierć, pełni niewymownej tęsknoty i radości. Pragnąc gorąco wyzwolić się z więzów ciała i iść do Chrystusa, wołał nieraz ukochany uczeń Jan św.: „Przyjdź, Panie Jezu, przyjdź.“

Swięta Klara mawiała wśród największych cierpień konania: „Nieskończone dzięki składam Zbawicielowi mojemu, który mi podał kielich cierpień śmiertelnych. Ach, kielich ten jest tak niewymownie słodki! — nic nie jest w stanie zasmucić mnie — sercu memu jest wszystko lekkie i znośne, gdyż kocha Zbawiciela swego.“ Siostry zakonne płakały, lecz ona pocieszała je nadzieją wesołego zobaczenia się w niebie, i skonała lekko i słodko, jak gdyby zasnęła.

Swięty Józef Oriolo, kapłan hiszpańskiego pochodzenia, który przez całe życie pracował gorliwie i bez wytchnienia nad zbawieniem swojem i bliźnich swych, spostrzegł, iż śmierć się zbliża. Poszedł zatem do domu pewnego zacnego rzemieślnika, którego dobrze znał i rzekł doń:

— Kochany przyjacielu, bądź tak dobry i pożycz mi łóżka, bym się mógł położyć, gdyż umrę wkrótce.

Poczem położył się do tego wypożyczonego łóżka i słabnął widocznie. Liczni jego znajomi i sąsiedzi odwiedzali go — a gdy płacząc, otaczali umierającego, przemówił tenże do nich z radością:

— Kochani przyjaciele moi! bądźcież lepszej myśli i cieszcie się razem ze mną, gdyż Bóg przyjmie mnie do królestwa swego — a tam będę wiecznie imię Jego uwielbiał, i wiecznie wesołe pieśni chwały nucił.

Następnie kazał przyjść czterem chłopcom służącym zwykle do Mszy św. z harfą — chłopcy musieli śpiewać święte pieśni, a umierający śpiewał także razem z nimi cichym głosem, z okiem utkwionem w krucyfiks, wyglądając z utęsknieniem przybycia Zbawiciela swego. I tak śpiewając, oddał Swięty ten ducha w ręce P. Boga dnia 22 marca 1702 roku.

Błogosławiony Mikołaj z Lombardyi, pobożny braciszek zakonu Franciszkanów, który od najmłodszego wieku zaprawiał się do cnoty i pobożności, cierpiał w ostatniej swej chorobie straszne boleści, lecz z ust jego nie wyszło słowo skargi — oblicze jego promieniało radosnem pragnieniem dostania się do przybytku niebieskiego a gdy nadeszła ostatnia chwila, zawołał w zachwyceniu do otaczających go:

Przyjaciele! Do raju idę — do raju!

Poczem zasnął słodko — a promieniejąca radość biła z jego oblicza. Zgromadzeni bracia zamiast zwyczajnych modlitw za umarłych, zaintonowali jednogłośnie radosny hymn: „Te deum laudamus“ (Ciebie Boże chwalimy) dziękujac Bogu, że pobożnego sługę swego zabrał w lekkim śnie do siebie.

Jedno pytanie.

Hrabia G. był młodym, dzielnym oficerem. Młodzieńcza jego wesołość i dowcip obfity zjednały mu serca wszystkich towarzyszy. Choć z żywości młodzieńczej niejedną psotę wyrządził, to serce miał nieskalane i wiarę niezachwianą.

Będąc od rodziców w pobożności wychowany, zachował w głębi serca nauki od nich otrzymane, i nie wstydził się jako wierny syn Kościoła wypełniać obowiązków swoich.

Pewnego dnia szedł z kilkoma towarzyszami jedną z głównych ulic miasta. Właśnie zaczął im wśród głośnego śmiechu opowiadać swe przygody. Ale nagle przerwał, odkrył głowę i klęknął pobożnie, bo oto zbliżał się kapłan, który niósł Najśw. Sakrament do chorego. Choć wszyscy jego towarzysze byli katolikami, żaden jednak nie poszedł za jego przykładem, i owszem jakiś uśmiech szyderczy igrał na ich ustach.

Skoro kapłan, minąwszy ich, był daleko, hrabia G. dalej snuł wątek przerwany swego opowiadania.

Wieczorem tego samego dnia dostał wraz z kilkoma swych przyjaciół zaproszenie na obiad do obersztа N. Gdy już wino poczęło skutki swe wywierać, nie mogli z nich niektórzy się powstrzymać od szyderstwa, że młody oficer na publicznym gościńcu uklęknął.

— To rzecz iście niegodna żołnierza; mówili. Oberszt, który był również wolnomyślnym, zapytał także hrabiego G. w tonie szyderczym:

— Czy to rzeczywiście prawda, że Jaśnie Oświecony hrabia G. przed kawałkiem chleba w prochu się tarzał?

— Tak jest panie oberszcie, ja to uczyniłem. Ale proszę odpowiedzieć mi także na jedno pytanie.

— Mów pan — odrzekł oberszt zaciekawiony.

Dajmy na to, żeby nasz cesarz, nasz najwyższy pan, przechadzał się w stroju żebraczym po ulicach miasta. Czyż przebranie się jego byłoby dostateczną przyczyną, abym mu odmówił należytego uszanowania, gdybym go spotkał?

— Co za pytanie? Powinieneś pan przecież wiedzieć, że w jąkiemkolwiek prze-

braniu cesarz by szedł, zawsze on jest najwyższym panem, więc pan jesteś obowiązanym oddać mu cześć należytą.

— W takiem samem położeniu ja się znajdowałem — odrzekł hrabia G.

Pod niepokaźną postacią chleba był ukryty Bóg, najwyższy Pan wszystkich cesarzów i królów ziemi, więc obowiązkiem moim jako katolika było oddać Mu cześć należytą. Uważałbym się za nędznika i podłego tchórza, gdybym był tego obowiązku nie spełnił.

Szydercy umilkli.

Czy to nie cud?

Kościół jest powszechny; jest on rozpowszechniony we wszystkich częściach świata, i pomimo wszelkich prześladowań i nienawiści, pomimo krwawych walk i srogiego ucisku, utorował sobie wstęp do wszystkich części świata, do najdalszych zakątków ziemi. Czyż to nie cud prawdziwy? Swięty Chryzostom pisze o tem w sposób następujący:

„Ile to wojen prowadzono z Kościołem! Ile wojsk wyprawiono przeciw niemu — ile męczarni i katuszy, kotłów, pieców, obcęgów, kleszczy, jaskiń, zębów dzikich zwierząt, jezior, mórz, wygnań i tyle innych, strasznych, nie do uwierzenia mąk wymyślono i użyto, by go udręczyć i zgubić! Nietylko obcy, ale i właśni jego członkowie napadali na niego, zadając mu bolesne ciosy. Wojna domowa, jedna z najstraszniejszych klęsk ludzkości, gorsza od wszystkich wojen, bo walczyli w niej nie obywatele z obywatelami, ale krewni z krewnymi, domownicy z domownikami, przyjaciele z przyjaciółmi — ogarnęła wszystkich; a jednak nie zdołała pokonać Kościoła, ani go osłabić. A to jest najdziwniejsza i godna zastanowienia, że burza ta przeciw Kościołowi wybuchła zaraz na początku. Bo gdyby wszytkie te przeciwności wybuchły były przeciw niemu wtedy, gdy już był silny i ustalony, i gdy wiara święta była rozpowszechnioną na całym świecie — to i tak możnaby to uważać za cud, że Kościół nie uległ wtedy zagładzie! Ale, że walki te i burze wybuchły już w początkach istnienia Kościoła, gdy umysły nie były jeszcze ustalone i wzmocnione w wierze, a ta żadnego uszczerbku przez to nie poniosła, lecz owszem, jeszcze się dalej rozszerzała i bujniej krzewiła — to jest to prawdziwym cudem nad cudami!

Dwaj koledzy

wskazuje nam nowy przykład powrotu do Boga, i dowodzi, że spowiedź jest najlepszą odpowiedzią na zarzuty wolnodumców.

Dwaj starzy koledzy spotkali się po dwunastu latach niewidzenia. Jeden z nich pozostał gorliwym katolikiem; drugi, niestety, porzucił wszyskie obowiązki religii i w nic już nie wierzył. Po rozmaitych pytaniach o wzajemne koleje życia, zapytał katolik nagle swego towarzysza i przyjaciela:

— A cóż, jakże z twojem sumieniem?

— O, co się tego tyczy, nie mówmy o tem. Ja już nie jestem takim, jakim mnie kiedyś znałeś. Ja mam swoje zasady i już ani wiem, co to konfesyonał.

— Bardzo mi to przykro, doprawdy. Ja sobie wystawiałem, że wszyscy moi dawni koledzy zostali dobrymi katolikami. Jeźli chcesz, opowiedz mi twoją historyę a ja ci potem opowiem moją.

I szli razem, przypominając sobie lata dziecięce.

— Wyszedłszy z kolegium, w któremeśmy się wychowali, wdawałem się nieroztropnie z różnymi towarzyszami, którzy wyzyskiwali gorliwość moją do pracy, dając mi zły kierunek, wzbudzali i podniecali moje namiętności miasto mnie pouczyć, jak je mam trzymać na wodzy, aż wreszcie wydarli mi najdroższy skarb wiary. Dziś już w nic nie wierzę. Skosztowałem wszystkich rozkoszy, jakie świat swym stronnikom ofiaruje i nurzałem się we wszystkich występkach. Gdym z wiekiem nieco się umiarkował, wszyscy sądzili, żem się poprawił; ale to tylko pozór, serce me jest tak chore, tak słabe, tak niestałe, jak zawsze.

— Musiałeś przynajmniej znaleść jakie

takie szczęście w tym stanie i w takim rodzaju życia?

— O, nie! — rzekł tonem gorzkiego zniechęcenia; pokój odemnie ucieka, wzywam go we dnie i w nocy; nie ma już dla mnie pokoju... Wymusiłeś na mnie to zeznanie; przed dziesięciu minutami wolałbym był umrzeć, niż takie wyznanie uczynić. Widzisz: starałem się, powtarzam ci, użyć wszelkich rozkoszy życia, wierz mi, że żadna z nich nie warta tyle, co jedna zwrotka pieśni katechizmowej. O, przyjemne to lata, lata katechizmu, lata pobożności, prostoty! Gdzieżeście się podziały! Starałem się je jeszcze wczoraj wzbudzić; tak, wczoraj jeszcze wstąpiłem do kościoła św. Tomasza z Akwinu; chciałem się modlić, ale już nie umiem. Wyszedłem taki smutny, taki zimny, oziębły jak wszedłem. Zresztą poco się mam modlić? ja już nie wierzę... nawet imię samego Boga żadnego na mnie wrażenia nie robi. Oto historya mego życia. Twoje życie zapewne wcale inne. Co ty porabiasz? Jakie są twoje zasady religijne?

Spotkanie to wydarzyło się w Wielki tydzień. Zapytany towarzysz bardzo grzecznie oświadczył, że podobny stan sumienia bardzo go boli.

— Ja z łaski Bożej cieszę się zupełnym spokojem sumienia, który nie obył się prawie bez walki, ale łaska Boża zwyciężała wraz ze mną wszelkie pokusy. Bardzo mi żal twego tak dla mnie niespodzianego upadku. Bóg mi zapewne przezeń daje naukę, a może chce, abym się starał o twe wyleczenie. Zresztą wkrótce cię odwiedzę.

Wziął jego adres i poszedł do domu.

W Wielki Piątek wieczór poczuł w sobie nieprzepartą chęć odwiedzić swego kolegę. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że tym sposobem najlepiej uczci ten dzień święty; dla tego też natychmiast udał się do wskazanego na bilecie mieszkania. Zastał kolegę daleko smutniejszym, ale także więcej niewierzącym. Miotał bluźnierstwa na Ewangielię, na Kościół, na prawo Boże. Widocznie szatan nowy doń przypuścił atak; zdawało się niepodobieństwem, aby ten nieszczęśliwy człowiek nie uległ mu zupełnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Niewdzięczny syn.

Młody stolarz J. S. sprawiał wesele. Wszyscy się bawili ochoczo, tylko jedna osoba nie podzielała ogólnej wesołości. Była to matka pana młodego. Będąc wdową po stolarzu, który przez rozmaite ciosy wszystek majątek stracił, całą swą miłość przelała na jedynaka. Nieraz choć spracowana, ostatni kawałek chleba od ust sobie odjęła, byle tylko synowi dobrze i wygodnie było. Przez jej zabiegi i starania stał się doskonałym stolarzem. Nieco lekkomyślny, sprawiał matce często zmartwienie; ale gdy powracał skruszony, poczciwa matka wszystko przebaczyła.

Ale teraz największą sercu jej zadał boleść, biorąc za żonę osobę, która swem prowadzeniem się mogła hańbę przynieść cnotliwej rodzinie. Matka prosiła, błagała ze łzami, ale nic nie pomogło; dla tego smutno jej dziś było, bo smutne miała przeczucia.

Minęło wesele — obawy matki wkrótce się niestety sprawdziły. Obchodziła się z nią synowa nie jako z matką, ale jak ze sługą, która swej pani nigdy dogodzić nie może. Syn patrzał na to przez palce, a często stawał nawet po stronie żony przeciw matce.

Gorzkie były dni jej życia, bo stosunki się pogarszały, a syn zupełnie o matce zapominał. Wtem zaszło zdarzenie, które niewdzięczność syna i złość synowej jak najjaśniej okazało.

Synowa stała przy kominku i gotowała nad lampą spirytusową. Przez niezręczność spadła lampa, a suknie się jej zajęły. Wydawszy krzyk przestrachu, wpadła w omdlenie, a matka przyskoczywszy, zdarła z niej fartuch i w ten sposób przeszkodziła dalszemu nieszczęściu.

Stolarz usłyszawszy krzyk, przybiegł, a obaczywszy, co się dzieje, złożył całą

winę na matkę i złośliwemi słowy ją znieważył.

Tymczasem synowa przyszła do siebie i niewdzięczna wraz z mężem znieważała matkę. Ta chciała się usprawiedliwiać; ale gdy syn coraz niegodziwiej z nią postępował i kazał jej się precz wynosić, przystąpiła doń i łzami zalana, rzekła:

— Życzenie twoje się spełni. Odchodzę i więcej mnie nie obaczysz. Ale pożałujesz tego, żeś się tak niegodziwie z matką obszedł, a Bóg ci na dzieciach zapłaci krzywdę, którąś mi wyrządził.

To rzekłszy, odeszła biedna matka i więcej nie wróciła. Po kilku tygodniach umarła staruszka w szpitalu. Przy łożu były tylko sługi szpitalne — syna nie było.

Wkrótce został stolarz ojcem. Radość jego była bez miary, ale smutnie się skończyła; po upływie roku okazało się, że dziecko jest głupkowate i głuchonieme. Rodzice byli bardzo nieszczęśliwi, zwłaszcza, że nie było nadziei uleczenia go. W bezsennych nocach nieraz przychodziło ojcu na myśl, że to kara za zniewagę matki.

W pięć lat później zdarzyło się, że rodzice wyszli z domu, zostawiwszy synka samego. Gdy wracali, oznajmiono im, że w warsztacie wybuchł ogień; biegną w przestrachu i widzą, że zostali żebrakami, bo wszystko się spaliło. A z jakiej przyczyny? Oto głupkowaty syn rzucił płonącą zapałkę między wiory i wraz ze wszystkiem stał się pastwą płomieni.

Uznał jawnie stolarz, że to kara Boża i że słowa matki się spełniły. Serdecznym żalem przejęty przepraszał Boga i matkę. Zaczął pracować jako czeladnik, ale już nigdy niczego się nie dorobił i w domu ubogich smutne dni żywota swego zakończył.

Błogosławieństwo matki uczyniło go zamożnym — grzech względem matki uczynił go żebrakiem.

Nauka głuchoniemych.

W r. 1789 umarł w Paryżu ks. de l'Epée, wynalazca nauki głuchoniemych. Świat, który więcej zważa na głośnych krzykaczy, jak na mężów, co w cichej skromności działają, zapomina łatwo o imionach swych dobroczyńców, a zazdrość i nienawiść ludzi niewiernych i wrogich Kościołowi, stara się z umysłu zasługi ich zmniejszyć lub zaćmić.

Karol Michał de l'Epée, urodzony w Wersalu, był kanonikiem w Troyes, a po śmierci przyjaciela swego, biskupa troajskiego, mieszkał w Paryżu. Pewnego razu zawezwano go do domu jednej pani dla spełnienia obowiązku kapłańskiego. Pani owej, pani domu, nie było, ale gdy wszedł do pokoju, wyszła naprzeciw niemu córka jej, która na jego powitanie nie dała odpowiedzi. Kapłan zapytał wchodzącą matkę o przyczynę tego zachowania córki i odebrał odpowiedź, że córka jej jest głuchoniema, a zatem na zawsze życia duchowego pozbawiona; a jednak zdawało się, że w tem wyniosłem ciele mieszka duch szlachetny.

Współczucie podało kapłanowi myśl, czyby nie było możliwem, uczyć głuchoniemych i czyby im przez wzrok nie można podawać myśli, które my za pomocą słuchu przyjmujemy. Z litości przyjął gorliwy ten kapłan kilku głuchoniemych na własny koszt do siebie i starał się im za pomocą znaków myśli swych udzielić. Ta mowa za pomocą znaków, to jego wynalazek, którą jego następca, ksiądz Sivard, tylko bardziej uprościł, uwyraźnił i w pewien system i metodę ujął. Postępy głuchoniemych powiększały jego gorliwość i ofiarność i pozyskały mu pomocników i dobrodziejów, gdyż aż dotąd sam ich żywił i utrzymywał.

Wkrótce zakład taki powstał w Wiedniu. Ludwik XVI urządził w Paryżu narodowy zakład głuchoniemych. W innych miastach powstały inne, których nauczyciele kształcili się wszyscy pod księdzem l'Epée. Dodajemy tu, że tym dobrodziejem głuchoniemych nie był wolnomularz, ale znowu kapłan katolicki.

Pisząca ręka.

W znanem dziełku pod tytułem: „Pisząca ręka“ opowiada ksiądz Alban Stolz następujące zdarzenie, w którem każdy widzieć może rękę Boską, piszącą straszne wyroki na szyderców wiary i sługi Kościoła.

Pewien niedowiarek, który szczególniejszym sposobem obrał sobie za cel swych dowcipków i żartów księży, nazwiskiem K. z O. w Bawaryi, często różne w tym względzie odbierał już przestrogi od ludzi zacnych, którzy mu jasno udowodniali kłamstwo i potwarz. K. miał zawsze na to tę odpowiedź: „Jeśli to nieprawda, niech mnie przy pogodnem niebie piorun zabije!“

Raz poszedł w pole wiązać snopki. była prześliczna pogoda, mały tylko obłoczek ukazał się na niebie. Nagle wypada ztamtąd piorun: pierwszy i ostatni — i tego człowieka kładzie trupem. I znów jasna, prześliczna pogoda.

Zdarzenie to nie potrzebuje objaśnienia.

Kalendarz tygodniowy.

Kwiecień.

17. Niedziela. **Przewodnia.** Rudolfa.
18. Poniedziałek. Eleuteryusza.
19. Wtorek. Hermogenesa Męczennika.
20. Sroda. Agnieszki P. (Czesława).
21. Czwartek. Anzelma B.
22. Piątek. Sotera i Kaja Męczenników.
23. Sobota. Wojciecha, Patrona Polski.

Szanownych Czytelników

upraszamy, aby odnowili przedpłatę na **drugi kwartał 1898 roku** i niechże się starają o **dalsze rozpowszechnienie** „Posłańca Katolickiego“. Cena wynosi na poczcie i w ajencyach

z przyniesieniem do domu 65 fen.;

bez przyniesienia 50 fen.;

w Ekspedycyi w Bochum 40 fen.

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 14)	309,56 m.
Polacy z Kottenburgu: L. Baczyk z żoną 50 f., F. Stasik 50 f., J. Bończyk 50 f., M. Sobczak 25 f., Sz. Parzysz 50 f., A. Musiał 30 f., St. Adamczak 50 fen., J. Frończak 50 f., St. Antoniewicz 20 f., St. Kaczmarek 20 fen., J. Wawrzyniak z żoną 50 fen., J. Wolniewicz 50 f., M. Urbaniak 50 fen., J. Pawłowski 1 m., M. Stachowiak 50 f., St. Gendera 50 f., I. Talarczyk 50 f., J. Kubiak 50 f., Jan Kubiak 1 m., F. Kwaśniewski 1 m., W. Kucioba 50 f., S. Matłoka 50 f., W. Zemski 50 f., M. Kościelniak z żoną 1 m., W. Pilarczyk 25 f., J. Kapuściński 20 f., B. Gorny 20 f., M. Wojtera 50 f., W. Pietrzak 50 f., A. Scigacz 50 f., Sz. Szydlak 50 f., J. Antczak 15 fen., P. Parzysz 15 f., A. Parzysz 50 f., J. Talarczyk 15 f., J. Pomeranc 50 f., W. Kubiak 50 f., S. Twardowski 50 f., J. Piaszczewski 20 f., M. Kaczmarek 50 f., M. Kaźmierczak 50 f., K. Grzegorski 50 f. (nadesłał p Szczepan Kaczmarek)	21,15 „
Na chrzcinach u p. Jana Kluczyńskiego w Kottenburgu: J. Kluczyński z żoną 1 m., J. Błaszczak z żoną 1 m., A. Własny 1 m., I. Mizera 1 m., Fr. Kopa 1 m., J. Włosik 50 fen. (nadesłał p. Szczepan Kaczmarek)	5,50 „
Na weselu u p. Ignacego Grzemskiego w Habinghorst: K. Karpiński 50 f., J. Jaskólski 1 m., I. Grzemski z familią 3 m., A. Kozłowski 50 f., A. Rotka 50 f., Fr. Ulatowski (młoda para) 1 m. (nadesłał p. S. Kaczmarek	6,50 „
Na chrzcinach u p. Józefa Woziniaka w Kottenburgu: K. Czywczeński 1 m., 2 60 f., I. Zabłocki 50 fen., Ig. 20 fen., Fr. Zabłocki 50 fen., I Woźniak 1 m., St. Zabłocka 30 f., Kurek 20 f., S. Kaczmarek 70 f. (nadesłał p. Szczepan Kaczmarek .	5,00 „
Na chrzcinach u p. J. Gruszki w Bottropie: J. Gruszka 1 m., Fr. Mandrysz 1 m., A. Gruszka 1 m., K. Gruszka 1 m., J. Kłósok 1 mr, P. Kłósok, akuszerka, 1 mr., Fr. Mandrysz 50 f., Fr. Kienert 50 f., J. Budnik 50 f., A. Grzenia 50 fen. (nadesłał i porto zapłacił p. Fr. Mandrysz)	8,00 „
Na święconce Towarzystwa św. Ignacego w Oberhausen (nadesłał p. Andrzej Zieliński — porto 25 fen.)	8,25 „
Ze skarbonki Tow. św. Barbary w Bochum z 3 i 10 kwietnia (wręczył p. Jan Madejka)	3,76 „
Razem	368,72 m.

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

12. 4. 1898. pro: Ks. Liss.

Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumianie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“